

Państwo Islamskie i gra cieni

6 października 2014

Irak, Syria, być może Liban... Dżihadyści z Państwa Islamskiego mierzą coraz dalej. Jak to możliwe, że grupa bez wyrazistej koncepcji politycznej i bez pomysłu na realną zmianę społeczną odnosi takie sukcesy? Jaką rolę pełni w dzisiejszej konfiguracji wpływów, sojuszy i układów sił na Bliskim Wschodzie?

Państwo Islamskie, albo Islamskie Państwo w Iraku i Lewancie, dżihadystyczny ruch, który w chwili obecnej kontroluje znaczną część północno-wschodniej Syrii i północno-zachodniego Iraku, wydaje się równie zdeterminowane i przekonane o własnej sile, jak region który je otacza jest pogmatwany. Samo w sobie nie stanowi nowego państwa, ponieważ odrzuca pojęcie granic i obywa się niemal bez instytucji. Dostarcza jednak doskonałego wyjaśnienia wielu zjawisk zachodzących obecnie na Bliskim Wschodzie i w państwach regionu, a także w polityce zagranicznej państw zachodnich.

Ten ekspansywny ruch ma zadziwiająco wyraziste korzenie i tożsamość, wzięwszy pod uwagę wewnętrzne zróżnicowanie – w jego skład wchodzi ochotnicy przybyli z całego świata. Jego historia zaczyna się w Iraku, gdzie w odpowiedzi na amerykańską inwazję w 2003 r. garstka mudżahedinów walczących wcześniej w wojnie afgańskiej założyła lokalną komórkę al-Kaidy. Ich doktryna bardzo szybko wyodrębniła się z ideologii organizacji macierzystej: walczą oni przede wszystkim z wrogiem bliskim, a nie przeciwnikiem dalekim, jakim mogą być Stany Zjednoczone czy Izrael. Poświęcając coraz mniej uwagi amerykańskim okupantom, rozniecili wojnę wyznaniową między sunnitami a szyitami, a potem pogrążyli się w logice bratobójczej. Ich skrajna przemoc wymierzona była przede wszystkim w zdrajców i domniemanych apostatów wśród sunnitów, a zatem zbierała żniwo w ich własnym obozie. Trwająca w latach 2007-2008 autodestrukcja doprowadziła do tego, że ruch

zredukował się do kilku radykałów ukrywających się głęboko w irackiej pustyni.

SOJUSZNICY WBREW WOLI I FANATYCZNI PRAGMATYCY

Nawet jeśli Państwo Islamskie w spektakularny sposób powróciło na regionalną scenę, to niewielka jest w tym jego zasługa. Drogę utorowali mu jego zadeklarowani wrogowie, których imponująco długa lista stanowi swego rodzaju Who's Who strategicznej sceny regionalnej. Przede wszystkim reżimy irackiego premiera Nuriego al-Malikiego oraz syryjskiego prezydenta Baszara al-Asada, które posługiwały się wszelkimi możliwymi do wyobrażenia – i niemożliwymi, jak w przypadku broni chemicznej w Syrii – środkami, aby w imię „wojny z terroryzmem” rozprawiać się z sunnicką opozycją, którą udało im się skutecznie zradykalizować.

Dalej ich okazjonalni sojusznicy, Waszyngton w jednym przypadku i Moskwa w drugim, którzy zachęcali ich do rozwinięcia skrzydeł. Oraz Iran, który zrobił znacznie więcej niż udzielanie bezwarunkowego wsparcia: w świecie arabskim Teheran realizuje politykę zagraniczną, która coraz bardziej sprowadza się do finansowania szyickich milicji, co prowadzi do coraz większej polaryzacji wyznaniowej.

Nie można tu pominąć również monarchii Zatoki Perskiej, które dzięki petrodolarom rozdawanym hojną ręką finansują – częściowo potajemnie – przedsięwzięcia gospodarcze islamistów. Z kolei Turcja na pewien czas otworzyła szeroko swoją granicę z Syrią dla dżihadystów przybywających z Francji, Nawarry, a nawet z Australii.

Nie można zapomnieć także o roli Stanów Zjednoczonych: po dekadzie pełnej bezsensownych poczynań spod znaku prezydenta George'a Busha, Barack Obama przyjął postawę odwrotną – flegmatycznej i wyniosłej obojętności, nawet wówczas gdy upadłe państwa w Syrii i Iraku stały się wylęgarnią dżihadystów. W ciągu dwóch lat Państwo Islamskie nie tylko

rozwinęło się, lecz także zwiększyło swój zasięg terytorialny, zajmując miasta takie jak Rakka, Faludża czy Mosul. Warto zauważyć, że to pierwszy taki ruch w świecie arabskim, który sprawił, że dżihadyzm stał się czymś więcej niż zjawiskiem marginalnym.

Sukces ruchu wynika po części z jego strategii, którą można streścić jednym pojęciem: konsolidacja. Mniej chodzi mu o „podbój świata”, jak sugerują jednogłośnie jego propagandyści i jego potwarcy, a bardziej o umocnienie się na tych pozycjach, które udało mu się już zająć, co popycha go ku coraz większemu pragmatyzmowi. Jego bojownicy porywają zachodnich zakładników i wymieniają ich za sowity okup, podczas gdy poprzednie pokolenia dżihadystów raczej podrzynały im gardła, by epatować okrucieństwem. Ze szczególnym wysiłkiem walczą o opanowanie szybów naftowych, które zapewniłyby im niezależność finansową. Ochoczo uderzają w słabych sunnickich rywali w wybranych przez siebie miejscach, jednak ich bojowy zapał słabnie w konfrontacji z poważniejszym przeciwnikiem, która pociąga za sobą nadmierne koszty: nie angażują się nadmiernie w walkę przeciwko reżimowi syryjskiemu, unikają bezpośrednich starć z irackimi milicjami szyickimi i przyjmują bardziej umiarkowaną postawę wobec frakcji kurdyjskich, które potrafią bardzo zażarcie bronić swojego własnego terytorium.

PRÓŻNIA WYPEŁNIA MIEJSCE PO PRÓŻNI

A jednak Państwo Islamskie niewiele ma do zaoferowania. Doskonale ilustruje to katastrofalna sytuacja w Mosulu. Jego niebagatelne zasoby nie są w żaden sposób redystrybuowane. Stosowane przez zdobywców miasta zasady zarządzania są skrajnie anachroniczne i sprowadzają się do wskrzeszania praktyk wprowadzonych przez proroka islamu, które, nawet gdyby były jasne i jednoznaczne, nie przystają do dzisiejszej rzeczywistości. Paradoksalnie poza tą z grubsza ociosaną utopią Państwo Islamskie nie opiera się na żadnej teorii (brak ten dotyczy zresztą cały świat sunnicki, odróżniając go bardzo od zinstytucjonalizowanego szyizmu rewolucji irańskiej).

W najlepszym przypadku wprowadza ono w życie bardziej skodyfikowaną wizję wojny, co daje mu pewną przewagę nad grupami zbrojnymi stosującymi czystą i najzwyczajniejszą przemoc. Owa kodyfikacja zwiększa spójność ruchu jako całości dzięki praktykom i dyskursowi wprowadzającemu pełną przemoc, jednak stosunkowo dopracowanym.

W istocie ruch zadowala się przede wszystkim wypełnianiem próżni. Państwo Islamskie zajmuje północno-wschodnią część Syrii, ponieważ opuściły ją wojska reżimu i dlatego że siły opozycji, które mogłyby je tam zastąpić, zostały opuszczone przez swoich sponsorów, szczególnie Stany Zjednoczone. Ruch opanował miasta takie jak Faludża czy Mosul, ponieważ centralne władze w Bagdadzie przestały się nimi interesować: utrzymuje się tam – nie wiadomo jak długo – dzięki represjom i korupcji. Jego szybką ekspansję na terenach w północnym Iraku kontrolowanych przez siły kurdyjskie, lecz zamieszkanym przez mniejszości chrześcijańską i jezydzką, wyjaśnić można niewielkim zainteresowaniem okazywanym ofiarom ze strony ich hipotetycznych obrońców, Kurdów, którzy woleli pozostać na swoich tradycyjnych terytoriach.

Znane również pod nazwą Daisz, arabskim akronimem o pejoratywnym zabarwieniu, Państwo Islamskie wypełnia pustkę również w bardziej abstrakcyjnym rozumieniu. Świat sunnicki, nie tylko patrzy w przyszłość lecz również próbuje zmierzyć się ze swoją przeszłością. Chaotyczny XX wiek, który nastąpił po długim okresie osmańskiej okupacji, uważanej za okres zacofania i regresu, naznaczony był całą serią porażek: antyimperializm, panarabizm, nacjonalizm, socjalizm, różne formy islamizmu czy kapitalizmu pozostawiły po sobie dwuznaczne i gorzkie wspomnienia. Nadzieje wzbudzone przez zrywy z 2011 r. obróciły się wszędzie – za wyjątkiem Tunezji – wniwecz. Dokąd zatem się zwrócić, by czerpać inspiracje, dumę i poczucie własnej wartości? Ku reakcyjnym monarchiom znad Zatoki Perskiej czy Egiptowi? Ku Braciom Muzułmanom, dziś już całkowicie unieszkodliwionym? Ku palestyńskiemu Hamasowi,

tkwiącemu w długotrwałym impasie w swoim oporze wobec Izraela?

Natomiast w tym samym czasie świat szyicki osiągnął pewne sukcesy, choćby i częściowe: Iran stał się dla Zachodu niepomijalnym partnerem do rozmów i stara się odgrywać coraz poważniejszą rolę w świecie arabskim, Hezbollah ustala w Libanie własne prawa, a oś szyicka łącząca Bejrut, Damaszek, Bagdad i Teheran ciągle się umacnia. Wynika stąd nowe i niepokojące zjawisko: sunnicka większość w regionie zaczyna mieć kompleks mniejszości – niejasne lecz dojmujące poczucie marginalizacji, pozbawienia i upokorzenia. Coraz więcej sunnitów w coraz liczniejszych miejscach uznaje, że zostali pozbawieni swoich najbardziej podstawowych praw i padają ofiarą prześladowania.

Mniejszości (szyicka, chrześcijańska, alawicka, kurdyjska itd.), które kultywują swoją własną tożsamość opartą na poczuciu krzywdy, są w najlepszym razie obojętne na los większości, a w gorszym – same są współwinne owej marginalizacji. Zachód zachowuje się nie lepiej. O ile los jezydów umierających z głodu podczas chaotycznej ucieczki w góry Sindżar w najwyższym stopniu zaniepokoił gabinety rządowe na Zachodzie, o tyle los mieszkańców okupowanych dzielnic Damaszku, gdzie działania reżimu skazują na głód znacznie większą liczbę sunnitów, przyjmowany jest z kamienną obojętnością.

Tym, co może niepokoić najbardziej, jest fakt, że Państwo Islamskie stało się płaszczykiem skrywającym powszechną polityczną próżnię. Ci, którzy dotychczas z niechęcią odnosili się do „wojny z terroryzmem” wypowiedzianej przez George’a Busha, widząc w niej bądź naiwną wizję strażaka-piromana, bądź też absurdalną reminiscencję logiki imperialnej, zaczynają dziś przyjmować tę wizję, ponieważ pozwala to im nie zastanawiać się nad prawdziwymi dylematami, które wynikają z sytuacji w regionie. Daisz usprawiedliwia coraz wyraźniejszy zwrot Iranu ku szyickiemu sekciarstwu, będący odpowiedzią na jego sunnicki ekwiwalent, niejednoznaczną postawę Zachodu,

który już nie wie, w którą stronę się zwrócić, blamaż znacznej części elit świata arabskiego, które prześcigały się w krytyce arabskich rewolucji czy rosnące wyalienowanie mniejszości z otoczenia, w którym żyją – dynamika, której są ofiarami, lecz również sprawcami, ponieważ same stosują formy represji, które tylko pogłębiają problem.

Następuje cała seria coraz bardziej absurdałnych wyliczanek. Iran do Zachodu: powinniście nas lubić, ponieważ zagraża nam Daisz. Arabskie reżimy do swoich społeczeństw: nie możemy pójść na najmniejsze ustępstwo, ponieważ zagraża nam Daisz. Syryjska opozycja: uratujcie nas przed nami samymi ponieważ zagraża nam Daisz. Hezbollah do Libańczyków: wszystko jest dozwolone ponieważ zagraża nam Daisz. Stany Zjednoczone: nie interweniujemy w Syrii, bo zagraża nam Daisz, lecz ostrzeliwujemy Irak ponieważ... zagraża nam Daisz.

Z POWROTEM NA ŚMIETNIKU „WOJNY Z TERRORYZMEM”

Regres widoczny jest na każdym kroku. Ze śmietnika historii stosunków międzynarodowych wygrzebano „wojnę z terroryzmem”, odkopuje się w nim również „ochronę mniejszości” na modłę kolonialną poprzez uderzanie w niespokojną większość. Tych kilka bombardowań dokonanych w Iraku przez amerykańskie samoloty i drony niesie wyzwolenie nie jezydom, których przyszłość zależy od wielu innych czynników, lecz raczej sumieniu administracji Obamy, która reagowała wrzucaniem ramionami i odwracaniem wzroku na wszelkiego rodzaju przemoc, do której dochodziło w ciągu ostatnich 3 lat.

Stany Zjednoczone zdecydowały się w końcu zareagować w Iraku, ponieważ mogły to zrobić bezkosztowo dla siebie – nie było ryzyka eskalacji konfliktu z Państwem Islamskim, które nie dysponuje wystarczającymi środkami odwetowymi. Nie odezwały się również głosy oburzenia ani ze strony amerykańskiej opinii publicznej, ani światowej, która w większości opowiadała się za interwencją. Nie było również żadnych komplikacji dyplomatycznych ponieważ Daisz wywołuje podobne reakcje tak we

władzach irackich i wśród przywódców kurdyjskich, jak i wśród irańskich, tureckich czy saudyjskich sąsiadów.

A jednak bombardowania w Iraku nie mają neutralnego wydźwięku. Wręcz przeciwnie, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy mieszkańców regionu. Tak się złożyło, że nastąpiły po miesiącu kompletnej obojętności Waszyngtonu wobec losu ludności cywilnej padającej ofiarą bomb zrzuconych na Gazę. Stały się również wyraźnym przesłaniem w kierunku głównych aktorów regionu: „wojna z terroryzmem” i „ochrona mniejszości” zastosowane w odpowiednich proporcjach mogą zjednać sympatię amerykańskiej potęgi i zmobilizować ją do działania. Zrozumiał to doskonale prezydent regionalnego rządu Kurdystanu Masud Barzani rzucając wezwanie o pomoc opublikowane w Washington Post. [1] Usłyszeli je również inni politycy regionu, którzy głośno pozostają jedynie na wezwania do pozytywnej zmiany.

Trzeba było pojawienia się Państwa Islamskiego w Libanie, by kraj o tak kruchej równowadze otrząsnął się z nękającego go paraliżu. Jednak ruch naprzód jest równocześnie krokiem do tyłu: libańska klasa polityczna i jej zagraniczni sponsorzy prześcigają się w wyrażaniu poparcia dla armii, która włączyła się w polowanie na sunnickich islamistów, całkowicie ignorując delikatną kwestię Hezbollahu walczącego bez przeszkód u boku zhańbionych reżimów w Syrii i Iraku.

PRZED PAŃSTWEM ISLAMSKIM ŚWIETLANA PRZYSZŁOŚĆ?

W ten sposób wszystkie strukturalne czynniki destabilizacji regionu działają tak jak poprzednio, uznane dziś za kwestie drugorzędne wobec konieczności stawienia czoła Państwu Islamskiemu. W środowisku sunnickim poczucie, że powraca ono do gry, sprawia, że rosną serca.

Państwo Islamskie ma zatem przed sobą świetlaną przyszłość, jeżeli główni aktorzy nadal będą wykorzystywać jego obecność, by rozgrzeszyć się z własnych błędów. Szyiscy islamiści, środowiska świeckie oraz zachodnie rządy częściowo

przedefiniowują swoje relacje w oparciu o coś w rodzaju świętej wojny, która staje się celem samym w sobie. Gaza, Jemen, Synaj, Libia, a nawet Tunezja, stanowią podatny grunt dla jej rozprzestrzenienia w tej części świata, która odczuwa silną integrację regionalną, zarówno ponad granicami państwowymi, jak i wewnątrz każdego kraju: dzięki ucieczce ze wsi do miast peryferia utrzymują ścisłe związki z dzielnicami slumsowymi wielkich metropolii.

Istnieją także ścisłe więzi ze społeczeństwami zachodnimi, przeobrażonymi poprzez napływ migrantów oraz nowe technologie informatyczne, które produkują nowe pokolenie kandydatów na bojowników dżihadu. Wyjeżdżają oni do Syrii czy Iraku, skąd kontaktują się ze światem i przekazują swoje doświadczenia, zasypując innych nie tylko gradem kul, lecz również i tweetów.

Państwo Islamskie, nie reprezentując wiele samo w sobie, czerpie w istocie z systemu, który zwalcza. Dla środowisk sunnickich przeżywających głęboki kryzys może stanowić rodzaj rozwiązania z braku jakiegokolwiek innego, okazjonalnego sprzymierzeńca, szansę awansu społecznego albo gotową niszę tożsamościową. Dla swoich najbardziej cynicznych krytyków może być użytecznym narzędziem odwracania uwagi albo straszakiem skupiającym w sobie mniej lub bardziej racjonalne lęki wszystkich regionalnych aktorów chcących uniknąć konfrontacji z własnymi porażkami. O jego sukcesie stanowi właśnie owa wieloznaczność w gmatwaniu charakteryzującej epokę chaotycznych przemian.

Autor: Peter Harling

Tłumaczenie: Ewa Cylwik

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)

PRZYPIS

[1] Massoud Barzani, „Kurds need more US to defeat Islamic State”, The Washington Post, 10 sierpnia 2014.